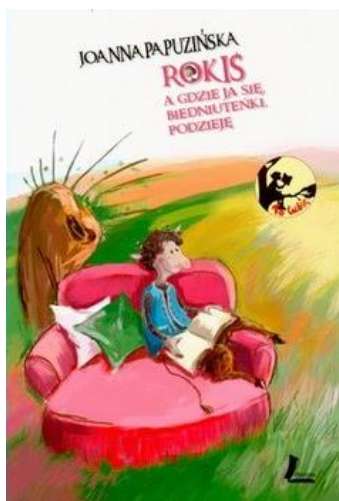




Żółta tabliczka z napisem: „Godziny odjazdu” zawiadamiała, że następny autobus odjeżdża o 18.45. Prawie za trzy godziny!

- Głupie baby zawsze doprowadzały mnie do rozpacz!
- jęknął tato i rozejrzał się dookoła.

Wąską szosę przerabiano właśnie na dwupasmową autostradę. Rano, gdy tato wysiadał z autobusu, pracowali tu robotnicy z wielką okrągłą mechaniczną piłą. Piła śpiewała cienko i smutno, przecinając, jeden po drugim, pnie starych wierzb rosnących przy szosie. Teraz było tu cicho i pusto. Ścięte wierzby leżały rzędem wzdłuż drogi.

Tato pokuśtykał do jednej z nich, usiadł i wyciągnął z teczki drugie śniadanie.

- Och, już ja je opiszę! - mruczał między jednym a drugim kęsem kanapki. - Pani urzędniczka od oświaty i pani urzędniczka od zdrowia! Ośrodek zdrowia nie może pogodzić się z radą narodową, kto powinien przywozić do szkoły w tej oto wsi panią dentystkę, która leczy dzieciom zęby! Kłóć się już cztery lata, pani dentystka nie przyjeżdża, a dzieci mają zęby dziurawe! Próchnicę! - tato ze złością trzasnął pięścią w wierzbową korę, aż ze zmurszałego pnia sypnęła się garść pyłu. - A jeszcze do tego gadają obydwie tyle, że spóźniam się na autobus, i o której ja teraz wrócę z terenu? Kaśka znów zostanie sama w domu na cały wieczór!

I tato wydobył swój dziennikarski notatnik, żeby zapisać zdania, które układały mu się w głowie.

- Najpierw tytuł: „Spróchniała biurokracja i spróchniałe zęby”. Dobrze, co? E, nie, do niczego... Czytelnicy będą śmiać się z autora, a nie z osób opisanych w artykule... „Biurokracja tamą postępu na wsi”. To znów brzmi nieciekawie. Odłożę tytuł na potem. Zresztą i tak już zaraz zrobi się szaro. Przecież to już jesień! - zamyśla się tato.

Kiedy tato sam był małym wiejskim chłopcem, nie lubił o zmroku chodzić drogą wysadzoną wierzbami. W wypróchniałej dziupli mieszkał diablik Rokita. Wieczorem lubił Rokita zacząć się na przechodzących chłopców, a jeszcze bardziej na dziewczynki, i wrzasnąć im nagle za uchem: - Huż-ha!!! - głosem tak straszliwym, że koszula na plecach robiła się mokra ze strachu, a nogi pędziły tak szybko przed siebie, jakby tam, w domu, nie wiedzieć jakie góry złota czekały na człowieka!

- Miało to licho pomysły, miało!

(...) Tato zawinął się lepiej płaszczem, bo dreszcz po nim przeleciał. I znów zamyślił się nad swoją dziennikarską sprawą.

- Idiotyczna historia! - powiedział głośno sam do siebie. - Na takie baby to nawet diabeł nie pomoże!

- Ciekaw jestem, dlaczego diabeł ma zawsze wszystkim pomagać, a diabłu to nikt nigdy? - wykrzyknął z goryczą za plecami taty jakiś skrzypiący i skrzekliwy głos.

- Co za licho? - rozejrzał się wokół siebie tato.

- Wierzbowe! Nie poznajesz?

Zachrobotało w zbutwiałym pniu wierzby, na której siedział, i z otworu, którego tato nawet nie zauważył, wygramoliło się czarne, chude, kosmate, rogate i ogoniaste stworzenie, całe osypane brązowym próchnem.

- Rokita? - krzyknął tata zdumiony i dla wszelkiej pewności uszczypnął się cichaczem w łydkę, gdyż jest to podobno gwarantowany sposób na sprawdzenie, czy się śpi, czy nie.

- Nie masz się co szczypać! To naprawdę ja, a raczej mój cień, moje nędzne resztki! - odpowiedziało lichu żałośnie i przysiadłszy obok taty na pniu, zaczęło rozcierać sobie łepetynę, a właściwie sterczący na niej wielki i okrągły guz. - Widzisz? - stęknięto wskazując guza. - Nie dość, że mnie, prawowitego właściciela tej wierzby, pozbawili bez pytania dachu nad głową, to jeszcze zaskoczyli mnie podstępem, we śnie! Gruchnąłem o ziemię razem z moją chałupą i niewiele brakowało, a miałbym wszystkie kości połamane! Czy to jest sprawiedliwość?

Tata, jako dziennikarz, przyzwyczajony był do różnych najdziwniejszych przygód, jakie go spotykały w podróżach, toteż zaczynał już odzyskiwać przytomność umysłu. Nie wierzył wprawdzie w diabły już od chwili, kiedy skończył dwanaście lat, ale skoro widzi na własne oczy?

„Na pewno okaże się, że to jednak sen - pomyślał. - Ale przecież i we śnie też trzeba się umieć zachować!”

- Nie masz się o co złościć - powiedział więc pojednawczo do swego dziwnego towarzysza. - Czemuś tak mocno spał? Nie wiedziałeś, że tu będzie autostrada?

- Autostrada - trada - rada!!! - wrzasnęło lichu tak wściekle, że aż gawron, siedzący na sąsiedniej wierzbie, stracił ze strachu równowagę i z wielkim trudem, młócąc ciężko skrzydłami, zdołał utrzymać się na gałęzi. - Słyszę to już bez przerwy od kilku lat! Zabieram wtedy manatki i szukam innej drogi i innej wierzby! Ale ta była ostatnia w moich stronach!

- Autostrady są potrzebne - powiedział tata.

- A gdzie ja się, biedniuteńki, podzieję? - zaszlochał nagle diablik. - Dziwię się bardzo - zwrócił się do taty z wyrzutem - że ty, choć tak sympatycznie myślałeś przed chwilą o mnie i choć doceniasz, jeden z nielicznych, moje zasługi, nie zastanawiasz się wcale nad tym!

I tu Rokita zamilkł, skulił się i zgarbił, przybierając możliwie najbardziej pożałowania godny wygląd.

- Nie martw się, uszy do góry, nie zginiesz! Przecież znajdziesz sobie jakieś inne miejsce! - pocieszał go tata.

- Inne miejsce? Popatrz no tylko tam! - Rokita wyciągnął pazurzystą łapę w stronę granicy horyzontu.

Na tle ciemniejącego już od wschodu nieba widać było kontury budynków oraz wielkich pękatych zbiorników, podobnych do beczek z kapustą w spizami u wielkoluda. Między beczkami, niczym fantastyczne słoniowe trąby, unosiły się powyginane dziwacznie rury, łączące zbiorniki ze sobą. Cały ten niesamowity krajobraz oświeślały chwiejące się na wietrze płomienie u szczytu cienkich i wysokich kominów.

- Kombinat... - powiedział tato.

- Kombinat - powtórzył diablik. - On pożre wszystkie spróchniałe wierzby i wszystkie wsie, i lasy, i dzikie zwierzęta, i wszystkich diabłów takich jak ja!

- Przesadzasz stanowczo - stwierdził tata. - Ludzie nie pozwalają ginąć zwierzętom i opiekują się lasami. A co do wsi...

- Właśnie! - zaśmiał się gorzko diablik. - O to mi chodzi! Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, Towarzystwo Miłośników Przyrody, Towarzystwo Tego i Owego i Ogona Psiego! Ludziom buduje się nowe domy, samochodom - autostrady, sarnom ustawia się karmniki z sianem, a dla szpaków wiesza się zielone budki na drzewach. Tylko biedny diabeł nie ma się gdzie podziać i nikt się nim nie zajmie! Krasnoludki, wróżki, duszki i inne ciepłe kluski - ach! Nad tymi wszyscy się rozczulają! Dla nich są książeczki, obrazeczki, bajeczki, one rozpierają się na wszystkich ścianach przedszkoli i dziecińców! - Rokita zaniósł się płaczem i załamał ręce z takim przejęciem, jakby występował na scenie teatru w roli sierotki, którą zła macocha wygnała na mróz z domu. - Tylko... - jęknął słabo przez łzy - tylko... ja... samotny... skrzywdzony... zaszczuty... bezdomny... - tu zabrakło mu dalszych przymiotników. - I przeziębiony! - krzyknął z triumfem po chwili. - O, słyszysz, jak kaszlę? - zaniósł się gromkim kaszlem, aż zadudniło mu pod kubraczkiem. - Krzywda, niesprawiedliwość! Sam widzisz! - chlipnął.

- Rzeczywiście to jest niesprawiedliwość - zasępił się tata. - Ale...

- Bez ale! - przerwało mu лихо. - Ty mnie rozumiesz, ja wiem! Zawsze powiadam, że dziennikarze to naród serdeczny i na ludzką krzywdę czuły. Ty się zajmiesz tym zagadnieniem i zainteresujesz nim społeczeństwo. Napiszesz w gazecie!

- Hmm... - mruknął tata niezdecydowanie.

Rokita w dalszym ciągu nie dał mu dojść do słowa.

- Towarzystwo Opieki nad Diabłem Specjalnej Troski! Zainicjujesz! Założysz! Mianuję cię prezesem natychmiast, zaraz, już! - Wyrwał z kieszeni pomięty kapelusz i uklonił się nisko tacie, zamiatając żdźbła trawy i słomy sprzed jego nóg. - Uszanowanie dla Pana Prezesa! - wrzasnął.

- Ciszej! - ofuknął go tata.

- Już jestem ci-chu-sieńko - diablik z szacunkiem przycupnął obok taty, ale oczka błyszczały mu chytrze. - A na pierwszy ogień - szepnął poufale - mam sprawę. Zaopiekujesz się mną! Na pewno znajdzie się u ciebie w domu jakiś ciepły kąt za piecem dla biednego Rokity, przyjaciela z dziecinnych lat!

- U mnie nie ma pieca - powiedział tata z lekkim niepokojem w głosie, bo zaczynał rozumieć, do czego zmierzała diabelska przemowa, która początkowo, co tu dużo gadać, trochę mu nawet pochlebiała.

- Głupstwo! Nie dbam o wygody! Weźmiesz mnie ze sobą, prawda? A żebyś nie miał ze mną kłopotu w drodze, ulokuję się, o, tutaj! - i Rokita jednym susem wskoczył do otwartej teczki, zwinął się w niej w kłębek i skurczył, starając się zająć jak najmniej miejsca.

- Bezczelny obwiesiu! Ani mi się waż! - rozgniewał się tata i sięgnął po teczkę, aby wytrząsnąć z niej diablika.

Lecz Rokita siedział w teczce jak przyrośnięty, za to z oczu trysnęły mu strumienie najrzewniejszych łez. Pocięły one brudną strugą do wnętrza i zaczęły wsiąkać między kartki dziennikarskiego notatnika.

- Strasznie byś mi napsocił w domu... - powiedział tata głosem trochę bardziej miękkim, bo był strasznie wrażliwy na czyjś płacz i wszyscy znali go z tego, że nikomu jeszcze, co go prosił o pomoc, nie odmówił.

- Przenigdy rozrabiał! - wyjąkał Rokita przez łzy, kuląc się w teczce. - Będę spokojny jak trusia, pracowity jak mrówka i zobaczysz, ile razy ci się przydam - zapewniał gorliwie.

- Ti-ta, ti-ta, ti-ta! - zabrzmiał tuż, niedaleko, wesoły klakson fiata. „Pekaes” wyskoczył zza zakrętu, błyskając wieczornymi światłami.

Tata desperackim gestem zamknął teczkę, chwycił ją pod pachę. Zerwał się i szarpnął za klamkę autobusowych drzwi. Wskoczył do autobusu razem z teczką i Rokitą, sam zdziwiony tym, co robi, do najwyższego stopnia.

Joanna Papuzińska, *Rokiś. A gdzie ja się, biedniuteńki, podzieję*, il. Elżbieta Kidacka, Łódź 2006, s. 5–12